

Ferrobèdò

U stóp pomnika Mazziniego...

(piosenka miejska)

Był upalny lipcowy dzień. Loczek miał przyjąć pierwszą komunię i bierzmowanie, więc wstał już o piątej, ale gdy zmierzał w dół via Donna Olimpia w szarych długich spodniach i białej koszuli, wyglądał raczej jak wyfiokowany goguś, który idzie na podryw nad Tyber, a nie jak ktoś, kto przystępuje do sakramentu czy jak żołnierz Chrystusa. W towarzystwie podobnych sobie chłopaków w bieli doszedł do kościoła Divina Provvidenza, gdzie o dziewiątej don Pizzuto udzielił mu komunii, a o jedenastej biskup go wybierzmował. Loczek nie mógł się doczekać, kiedy to wszystko się skończy – od Monteverde aż po dworzec Trastevere nieprzerwanie słychać było odgłosy samochodów. Z oddali niosły się dźwięki klaksonów i motorów, które mknęły pod górę i po zakrętach; spalone porannym słońcem przedmieścia wypełniały się ogłuszającym zgiełkiem. Zaraz po krótkim kazaniu biskupa don Pizzuto i dwóch czy trzech młodych kleryków zabrali chłopców na dziedziniec przed świątlicą, żeby zrobić zdjęcia; biskup przechadzał się, błogosławiąc krewnych, którzy klękali na jego widok. Loczek poczuł ssanie w żołądku, wymknął się więc przez pusty kościół, ale przy drzwiach natknął się na ojca chrzestnego, który zapytał:

– A gdzie ty się wybierasz?

– Do domu – odparł Loczek. – Jestem głodny.

– Chodź do nas, ty skurczybyku – zawołał za nim chrzestny. – Będzie obiad.

Loczek puścił to mimo uszu i wybiegł na rozżarzoną słońcem ulicę. Rzym zanosił się jednym głośnym brzęczeniem; tylko w górnej części miasta panowała cisza, ale jakby podminowana. Chłopak poszedł się przebrać.

Z Monteverde Vecchio do Granatieri droga jest niedługa: wystarczy przejść przez łąkę, a potem udać się na skróty między domami w budowie przy viale dei Quattro Venti, pośród lawin odpadów, niewykończonych, popadających w ruinę budynków, wielkich błotnistych wykopów, zaśmieconych skarp. Via Abate Ugone leży o dwa kroki stąd. Po cichych asfaltowych uliczkach Monteverde Vecchio w stronę Grattacielì schodził tłum; z daleka było widać ciężarówki w niekończących się kolumnach, przemieszane z furgonetkami, motorami i wozami pancernymi. Loczek przyłączył się do tłumu, który kierował się do magazynów.

Z oddali Ferrobedò wyglądało jak wielkie podwórze, jak łąka zagłębiona w dolinie; było wielkości placu czy może jarmarku z bydłem; wzdłuż prostokątnego ogrodzenia znajdowały się wejścia, po jednej stronie stały foremne baraki z drewna, po drugiej magazyny. Loczek przedarł się przez rozwrzeszczany tłum i dotarł do jednego z baraków. Stało tam czterech Niemców, nie wpuszczali nikogo do środka. Przy drzwiach leżał wywrócony stolik, Loczek chwycił go i pobiegł do wyjścia. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, natknął się na jakiegoś młokosa, który zapytał:

– Co ty wyprawiasz?

– Zabieram to do domu – odparował.

– Głupku, chodź ze mną po lepszy towar.

– To chodźmy – odrzekł Loczek. Rzucił stolik, a ktoś, kto akurat tamtędy przechodził, zabrał go sobie.

Razem ponownie weszli na teren Ferrobedò, przedostali się do magazynu i wzięli stamtąd sznurki. Potem chłopak powiedział:

– Chodź po gwoździe.

Nosząc sznurki, gwoździe i inne rzeczy Loczek przeszedł się pięć razy na Donna Olimpia i z powrotem. Choć popołudniowe słońce grzało jak oszalałe, to na terenie Ferrobedò wciąż roił się tłum, okrzyki ludzi konkurowały w skwarze z odgłosem ciężarówek mknących w stronę Zatybrza, Porta Portese, Mattatoio i bazyliki Świętego Pawła za Murami. Gdy we dwóch wracali po raz piąty, za ogrodzeniem, pomiędzy dwoma barakami, dostrzegli konia z wozem. Zaczaili się, żeby sprawdzić, czy uda się coś podwędzić. W jednym z baraków Loczek odkrył tymczasem skład broni – przewiesił sobie karabin przez ramię, a za pasek zatknął dwa pistolety. Uzbrojony po zęby wdrapał się na koński grzbiet.

Przyszedł jednak Niemiec i ich przepędził.

Gdy Loczek chodził ze sznurkami na Donna Olimpia i z powrotem, Marcello znajdował się w pobliżu bloków przy Buon Pastore. W sadzawce roiło się od chłopaków, którzy kąpali się, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Inni grali w piłkę na zaśmieconej łące.

Agnolo zapytał:

– A gdzie Loczek?

– No, poszedł do komunii – zawołał Marcello.

– A niech go szlag! – krzyknął Agnolo.

– Teraz pewnie siedzi na obiedzie u chrzestnego – dodał Marcello.

Nikt z kąpiących się w sadzawce przy Buon Pastore o niczym jeszcze nie wiedział. Słońce oblewało swoim blaskiem Madonna del Riposo, Casaletto i dalej Primavalle.

Wracając po kąpiele, chłopcy przeszli przez łąkę, gdzie znajdował się niemiecki obóz.

Zaczęli się przypatrywać, ale przejeżdżał tamtędy motocykl, a siedzący w koszu Niemiec krzyknął do nich:

– *Rausch*, teren skażony!

Nieopodal był szpital wojskowy.

– A co nas to obchodzi? – zawołał Marcello.

Motocykl zwolnił, Niemiec wyskoczył z kosza i tak strzelił Marcello w pysk, że chłopak aż się zatoczył. Z opuchniętą twarzą zdołał się wywinąć i pierzchnął z kumplami w dół skarpy, tylko prychnąwszy w stronę Niemca; wśród śmiechów i wrzasków dobiegli do Casermone. Tam natknęli się na innych chłopaków.

– Co robicie? – zapytali tamci, cali brudni i rozmamłani.

– A co? – spytał Agnolo. – Co niby mamy robić?

– Idźcie do Ferrobèdò, jak chcecie coś skołować.

W trymiga byli na miejscu, gdzie od razu przyciągnęła ich wrzawa w pobliżu warsztatu.

– Odkręcimy silnik – krzyknął Agnolo.

Marcello wyszedł z warsztatu i znalazł się sam pośród zgiełku przed dołem ze smołą. Byłby wleciał do środka i zapadł się jak Indianin w ruchomych piaskach, gdyby nie powstrzymał go krzyk:

– Ej, Marcello, uważaj!

To ten sukinsyn Loczek z pozostałą zgrają. No więc poszedł z nimi. Weszli do któregoś z magazynów i gwizdnęli puszki ze smarem, skórzane paski i trochę żelastwa. Marcello przyniósł do domu z pół kwintala złomu i zostawił łup na podwórku, żeby matka go nie nakryła. Od rana się nie pokazywał, więc dała mu w skórę.

– Gdzieś ty się szlajał, łobuzie – wrzeszczała, okładając go ręką.

– Kąpać się byłem – bronił się Marcello i chudy jak szczapa cały się kulił, by uniknąć ciosów.

Potem przyszedł starszy brat i zobaczył składzik na podwórzu.

– Ty tumanie! – krzyknął. – Żeś nakradł tyle towaru, ty sukinsynie.

Tak więc Marcello poszedł do Ferrobedò z bratem i tym razem zabrali z wagonu opony samochodowe. Zapadał wieczór, a słońce prażyło bardziej niż zwykle: w Ferrobedò było tłumniej niż na targu, nie dało się ruszyć w żadną stronę. Czasem ktoś zawołał: „W nogi, Niemcy idą!”, żeby przepędzić innych i samemu się obłowić.

Nazajutrz Loczek i Marcello, jako że im się to całkiem spodobało, poszli razem do sklepu serowarskiego, na zamknięte Mercati Generali. Wokół zebrało się mnóstwo ludzi; Niemcy chodzili tam i z powrotem i strzelali w powietrze. Ale najbardziej uciążliwi byli funkcjonariusze z APAI i to głównie oni uniemożliwiali wejście. Tłum wciąż się rozrastał, napierał na bramy, ujadał, jazgotał i złorzeczył. Wobec szturmów nawet skurwiele z APAI odpuścili. Ulice wokół targowiska pociemniały od chmury ludzi, podczas gdy za ogrodzeniem pod wszechogarniającym słońcem panowały cmentarne pustki, ale gdy tylko otwarto bramy, teren zapełnił się w mgnieniu oka.

Na Mercati Generali nie było nic, choćby jednego kapucianego głąba. Tłum rzucił się, by przetrząsać magazyny, budy, stragany, nikt nie chciał zostać z pustymi rękami. W końcu grupa młodych chłopaków natknęła się na piwnicę, która wyglądała na pełną: przez kraty widać było opony samochodowe i rowerowe, ceraty, plandeki, a na półkach sery. Wieść szybko się rozniosła: pięćset czy sześćset osób natarło w ślad za nimi. Wyważono drzwi

i ludzie włali się do środka, deptając po sobie nawzajem. Byli tam też Loczek i Marcello. Tłum wciągnął ich przez drzwi, niemal nie dotykali stopami ziemi. W dół prowadziły spiralne schody: tłuszcza napierała z tyłu, kobiety krzyczały, nie mogąc prawie zaczerpnąć tchu. Na schodach roilo się od ludzi. Nagle cienka żelazna barierka pękła, a jedna z kobiet spadła z krzykiem w dół i uderzyła potylicą o stopień. Ci z zewnątrz nadal napierali.

– Nie żyje – zawołał jakiś mężczyzna z głębi piwnicy.

– Nie żyje – wrzeszczały przerażone kobiety; nie można było pójść dalej ani wyjść.

Marcello nadal brnął w dół. Na końcu schodów przeskoczył trupa, po czym rzucił się do piwnicy i napełnił torbę oponami, inni chłopcy też brali co popadło. Loczek zniknął, może wrócił na zewnątrz. Tłum się rozproszył. Marcello znów przeskoczył przez ciało kobiety i pobiegł do domu.

Na Ponte Bianco natknął się na wojsko. Zatrzymali go i odebrali mu towar. A on został sam z pustą torbą. Wkrótce potem z Mercati Generali na Ponte Bianco przyszedł Loczek.

– No i? – zapytał.

– Miałem opony, a oni je zabrali – odparł nabzdyczony Marcello.

– Co te dupki wyprawiają, może by się, kur..., zajęli swoimi sprawami! – skomentował Loczek.

Za Ponte Bianco nie było już domów tylko wielki plac budowy, a dalej, za viale dei Quattro Venti, które tworzyło głęboki jak potok rów, betonowym pyłem jaśniało Monteverde. Chłopcy usiedli w słońcu na wyliniałym, poczerniałym trawniku i patrzyli, jak APAI łupi ludzi. Po jakimś czasie na most przyszła grupka chłopaków z workami pełnymi serów. Ci z APAI chcieli ich zatrzymać, ale oni nie

dali się tak łatwo, zaczęli się stawiać, robili okropne miny, więc tamci uznali, że lepiej odpuścić: zostawili chłopakom towar i oddali to, co nakradli Marcellowi i innym, którzy podeszli teraz bliżej, miotając groźby. Niemal skacząc z radości i obliczając, ile zarobią, Loczek i Marcello poszli via Donna Olimpia; wszyscy inni też się rozeszli. Z funkcjonariuszami APAI pozostał tylko smród rozgrzanych słońcem śmieci.

Na kawałku ubitej ziemi pod Monte di Splendore – dwu czy trzymetrowym wzniesieniem zasłaniającym Monteverde i Ferrobedò, a na horyzoncie linię morza – pewnej soboty, kiedy chłopcom znudziła się już gra, kilku starszych młodzików usiadło w kole pod bramką. Podawali do siebie piłkę precyzyjnymi, szybkimi uderzeniami nasadą stopy, tak żeby gładko, bez podskoków toczyła się po ziemi. Po jakimś czasie wszyscy byli zlni potem, nie zamierzali jednak zdjąć odświętnych marynarek ani sweterków z niebieskiej wełny w czarno-żółte pasy, bo zabawa zrodziła się spontanicznie i nie na poważnie. Ktoś mógłby pomyśleć, że to szaleństwo, by grać w pełnym słońcu w takim ubraniu, dlatego śmiali się i drwili z siebie nawzajem, aby innych nie naszła ochota na żarty.

Wymianie piłki towarzyszyła rozmowa.

– Ale z ciebie dzisiaj flak, Alvà – krzyknął brunet z włosami wysmarowanymi brylantyną. – Panienki – dodał po chwili, uderzając z przewrotki.

– Spier... – odparował Alvaro. Miał kościstą, jakby pogwiniatą twarz i łepetynę, która była tak duża, że gdyby wesz chciała obejść ją dookoła, to chyba zdechłaby ze starości. Zamierzał pokazać sztuczkę i odbić piłkę piętą, ale zamiast tego puścił szczura, a futbolówka potoczyła się